NUMER 16. DNIA 20-go KWIETNIA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

O przewodnictwie duchowem starszych.

Pojawiają się od czasu do czasu odezwy do młodzieży, w których nawołuje się ją do spokoju, do pozostawienia spraw publicznych starszym, do przyznania kierownictwa duchowego pod każdym względem tym... starszym. I pod odezwami spotykają się często nazwiska szanowne — spotyka się ludzi prawdziwej nauki i szczerej pracy i ludzi dobrej woli... A młodzież? Młodzież albo nie czyta wcale tych odezw, albo przynajmniej liczy się z niemi nie więcej, niż z doniesieniem kupieckiem, rozlepionem na słupach ulicznych... Bo pytam się, czyż dosyć być uczonym, człowiekiem rozumnym i uczciwym, aby stać się czyimś przewodnikiem duchowym? Czyż przeżycie czterdziestu, pięćdziesięciu lub więcej lat, daje już prawo do przewodnictwa?

O szacunek nie można prosić, ani go żądać; szacunek bierze się czynem, ciągłą walką z tem, co niższe, ciągłem tworzeniem nowych, wyższych i szlachetniejszych form z wciąż nową, wyższą, szlachetniejszą w tych formach zawartą treścią... Dlatego wszelkie odezwy, to dźwięk rozbitego szkła.

Większość tych starszych — to nie ludzie, którzy w boju zdobywają wciąż nowe wawrzyny i wciąż nowe odkrywają horyzonty innym i sobie, to nie zwycięzcy życia i jego tworzyciele... Większość tych starszych — to ludzie o wyschłem sercu, to zżółkłe liście — strącone wiatrem jesiennym i starte nogą wędrowca - czasu na pył, na proch ziemny. Widzieli oni w życiu wiele klęsk i wiele zórz wschodzących — być może. — Ale widzieli je z płaszczyzn, widzieli w zaćmieniu oczu zmęczonych kurzawą codziennego życia — a trzeba było wejść na szczyty niebotycznych gór i trzeba było z każdej klęski czerpać siłę i z każdego bólu i z każdej łzy — jak z każdego przeżytego dnia, z krwawicy zachodzącego słońca. A młodzież wypływa na wielkie niezmierne wody, z początku silna i walk głodna i płynie w dal, wciąż w dal... Aż kiedyś — w posępną noc zatęskni, jak ptak przelotny do lądów, do borów, w których tyle ciszy, tyle zapachów żywicznych, zatęskni do ojcowskiej dłoni — i nie znajdzie.., Młodzież powinna iść sama — młodzież to nie stepowy koń, którego trzeba do dyszla przyuczyć, lecz nowa moc, lecz przyszłość i nowy szczyt — więc sama niech idzie... Ale gdy przyjdą na nią zwątpienia, gdy przyjdą troski i spętają ją niemocą, niby powrozem niewolniczym, wówczas niech będą przy niej silne ręce ojcowskie i miękkie, kojące ręce macierzyńskie...

My młodzi potrzebujemy przewodników, ale wymagamy od nich, żeby byli święci i wielcy, żeby byli mocni, a nie łamali słabych leszczynowych pędów — żądamy, aby byli, jako dęby, potężnymi konary chroniące od żarów paprocie, a nurzające się wierzchołkami w błękitach i w słońcu... Wtenczas my sami będziem w nich patrzyć i chociaż własną chcemy iść drogą, to będą nam oni busolą kierowniczą i majakiem, światłem, kładącem się na rafy podwodne i świętością. Jak młodzież potrzebuje wodzów i przewodników, łatwo można się przekonać, dość tylko spojrzeć naokół

i poza siebie... Jak kupi się ona około każdej wybitniejszej postaci, jak nawet okłamuje siebie, aby tylko wierzyć, że właśnie ten człowiek, to wódz i święty — to prorok nowy...

Dawni senatorowie Romy, prowadzili synów na posiedzenia senatu, bo codzień myślą swoją zdobywali ziemie, bo co ranek budzili się z większą mocą i potęgą... Więc młodzież ówczesna chodziła za nimi i szanowała ich i kochała i uczyła się od nich... Lecz kiedy senat zaczął pokój od wrogów kupować, kiedy można sobie było wynająć purpurą bramowaną togę, to już młodzi nie szli za nimi i za nikim, bo już nikogo wielkiego nie było... I jaka z tego nauka? Oto, że przyzwyczaili się chadzać śladami wielkich poprzedników, więc już nie umieli własnych dróg wytyczać i szli do cyrków i łaźni i szli na rynki, aby pokazać swoje pierścienie i swoje wieńce na igrzyskach zdobyte. Tak — do młodzieży trzeba przemawiać nie odezwą, nie, mając pierś orderami zawieszoną, lecz czynem, lecz z nagą, ale potężną piersią... A przedewszystkiem nie trzeba żądać, aby szła pod kierownictwem starszych, lecz raczej niech ci starsi od samych siebie wymagają wciąż nowych wysiłków, nowych prac, niech wymagają od siebie nieskazitelności charakteru, żaru serca i wspaniałomyślności duszy... Wtenczas nie zajdzie potrzeba pisania odezw i narzekań, bo młodzież pójdzie za nimi z własnego popędu. Młodzież umie jeszcze czcić bohaterów i niech przyjdą a otrzymają taką cześć i taką miłość, jak tylko wielką być może w naszych młodzieńczych marzeniach i w naszych snach.

b. d.

Pieniądz i przewrót cen w XVI. i XVII. w. w Polsce.

(Z powodu książki pod tym tytułem p. Adama Szelągowskiego.)

Literatura ekonomiczna zrodziła się razem z rozpowszechnieniem się pieniędzy, z rozpoczęciem się pieniężnej gospodarki. Kwestja bilansu handlowego, jako kwestja zatrzymania pieniędzy w kraju występuje nasamprzód w literaturze ekonomicznej. Jestto zrozumiałem, gdyż rozpowszechnienie się pieniędzy to rozwój nowego zjawiska, które musiało pociągać uwagę statystów.

Polska XVI st. była krajem całkiem europejskim, na jej terenie spotykamy zjawiska ekonomiczne właściwe Europie owego czasu, myśl jej statystów jest zaprzątnięta temiż zagadnieniami, co myśl statystów innych krajów Europy. Ustawodawstwem sejmowem starano się u nas zatrzymać pieniądze w kraju. Zawnętrzne jednak warunki przez cały wiek XVII ujemnie wpływają.

Ważnem jest dla zrozumienia naszego rozwoju ekonomicznego poznanie prac naszych statystów, owe przebłyski naszej świadomości społecznej, ważnem jest rozpatrzyć, o ile te przebłyski świadomości wpływały na politykę ekonomiczną Polski, o ile ta polityka odpowiadała stawianym przez się celom, jak i o ile wpływała na nasz rozwój ekonomiczny, o ile też był on uzależnionym od objawów zewnętrznych, przeobrażeń ekonomicznych, zaszłych w krajach ościennych i starć z sąsiedniemi państwami.

Biorąc za punkt wyjścia sprawę pieniędzy i cen w Polsce, p. A. Szelągowski w pracy swej *Pieniądz i przewrót cen w XVI i XVII wieku w Polsce* rozpatruje wszystkie powyższe pytania.

Z pisarzy polskich w sprawie monety bezwarunkowo przednie miejsce zajmuje Kopernik. Nad pracą Kopernika o monecie zatrzymuje się autor, przyczem zaznacza, że traktat Kopernika ma wyraźną tendencję polityczną, gdyż chce unji monetarnej Prus z Koroną i Litwą dla pojednania umysłów i łączności handlu. Oprócz tego autor zaznacza zasadnicze twierdzenie Kopernika, iż

dobry pieniądz obok złego nigdy nie może się utrzymać w obiegu, że drugi wyprze z czasem pierwszy, gdyż znawcy pieniędzy wycofują z kursu monetę lepszą, jeżeli ona ma równy walor z gorszą. Zasada ta została uznana przez naukę, jak prawo Greshama, który niemal w tym samym czasie przyszedł do tego wniosku. Następnie autor uwzględnia poglądy na monetę Fr. Modrzewskiego, twierdzącego, że pieniądz jest nerwem wojny, Ciesielskiego, który staje na tem samem stanowisku i żąda dla zachowania pieniędzy w kraju, aby kupcy nasi nie jeździli za granicę. „Kupcy nasi — mówi — poza obrębem kraju, narażeni są na liczne niebezpieczeństwa, rozboje, grabieże, wyzysk. Skutkiem bowiem zmowy kupców miejscowych muszą zagranicą niejednokrotnie towar swój sprzedawać po cenie niższej, aniżeli u siebie w domu. Lepiej przeto jest, aby zagraniczni kupcy przybywali do nas i tutaj na miejscu kupowali nasze towary“.

Napływ obcych kupców do nas z zagranicy, w miejsce wyjazdu kupców naszych, powinien, zdaniem Ciesielskiego, jeszcze i na korzyść wyjść rozwojowi miast i handlu. Przedewszystkiem rzemieślnicy znaleźliby większy zbyt dla swoich towarów, powtóre zaś bogaci kupcy zagraniczni musieliby u nas się osiedlić i płacić podatki „nie w fałszywej ale rzetelnej monecie“.

Na tle tego poglądu ekonomicznego, będącego wyrazem przekonań polskiej szlachty XVI w., powstał znany zakaz sejmowy z 1565 r. zabraniający kupcom polskim wywozić towary zagranicę. Odtąd kupcy koronni mieli się stykać z cudzoziemskimi jedynie na jarmarku i w miejscach składowych, dokąd tym ostatnim „ze wszelakiemi kupcami małemi i wielkiemi“ było wolno przyjeżdżać. Prawo to zwykle było uważane za przejaw egoistycznej polityki szlachty, nie wahającej się podkopać bytu miast polskich, byle tylko mieć tańszy towar w kraju. P. Szelągowski jest w danej kwestji odmiennego zdania. Widzi on tu głównie przejaw poglądów merkantylistycznych, mianowicie: ochrony pieniądza. Zdaniem jego, prawodawstwo sejmowe 1565 r. miało na celu podniesienie miast w Polsce, chylących się ku upadkowi. Konstytucya 1565 r. bowiem powiada, iż stosunki kupców nietylko z cudzoziemcami, ale i koronnymi obywatelami mogą się odbywać na jarmarkach tylko wolnych. To ograniczenie handlu nietylko zewnętrznego, lecz także wewnętrznego, zdaniem p. Szelągowskiego, zmierzało do skupienia handlu, obdarzonego dawnemi przywilejami, i przeniesienia go z zakątków nawet wiejskich na targi i jarmarki. Polityka merkantylna w Polsce przejawia się tak w prawodawstwie o ograniczeniem zbytku, co było w znacznej mierze ograniczeniem konsumcji obcych towarów. Brakowało tylko merkantylizmowi polskiemu istotnej cechy merkantylizmu zachodnio-europejskiego — ochrony i popierania przemysłu.

Polityka ekonomiczna szlachty usiłowała z Gdańska zrobić jedno wielkie emporjum dla całej Rzpltej., w któremby się koncentrował cały wywóz produktów surowych i na odwrót dowóz wszystkich obcych towarów zagranicznych. Tym sposobem szlachta spodziewała się łatwiej kontrolować obce towary, obcy pieniądz przewożony, jak również normować ceny towarów.

Położenie geograficzne Gdańska i polityka ekonomiczna szlachty wiązały to miasto z interesami Polski. Polsce ono zawdzięczało swój dobrobyt i rozkwit, dlatego też ciążyło ku Polsce. Zarys stosunku Gdańska do Polski znajdujemy w książce p. Szelągowskiego dającej nam obraz stosunków handlowych Polski. Stosunki te, zdaniem autora, rozwijały się u nas normalnie aż do połowy XVII w., dopiero wypadki zewnętrzne, jak wojny szwedzkie, oraz zmiana konjunktur handlu wszechświatowego posunięcie jego punktu ciężkości dalej na wschód — ku Inflantom, ku morzu Białemu, do Rosji — zadała główny cios rozwojowi handlu polskiego.

W kwestji pieniądza i cen w Polsce autor konstatuje następujące fakty.

W Polsce można stwierdzić podniesienie się prawie dwukrotne cen zboża w drugiej połowie XVI w. Czy było to w związku ze zmniejszeniem siły kupna pieniądza, czy też zależało od specjalnych warunków handlu zbożowego — oto pytanie, które zaznacza autor, ale na które nie daje odpowiedzi. Zaznacza tylko całkiem słusznie, że drożyzna na zachodzie musiała wpłynąć na Polskę, sprowadzającą z zagranicy większość towarów nawet do codziennego użytku, jak sukno, płótno i t. p.

Ta zmiana cen, jaka dokonała się wówczas w Polsce, posłużyła za tło walki między stanem ziemiańskim a kupieckim. Sejmy ustanawiają taksy i taryfy dla powściągnięcia drożyzny towarów,

nieustannie rozszerzają swoją kontrolę nad zmianą i ukrócają prawo królewskie bicia pieniądza. Cała ta polityka wskutek niezależnych od nas konjunktur europejskich nie osiągnęła pożądanych celów; przeciwnie pieniądz polski odpływał zagranicę. Gorszy pieniądz sąsiadów wypychał lepszy pieniądz polski.

Pomimo znacznych zmian w stopie pieniężnej w ciągu całego panowania Zygmunta III, ceny trzymały się w rzeczywistości w tymsamym poziomie, jeżeli je sprowadzić do cen złota.

Wojny i ciężkie zamieszki za Jana Kazimierza zepsuły pieniądz polski, zrujnowały skarb i spowodowały zastój w handlu polskim, zwłaszcza bałtyckim. Nastąpiło wówczas w Polsce, jak i w innych krajach aż do XVIII st. włącznie, psucie pieniędzy w krytycznej chwili wojen. Lecz gdy tam stosunki normalne wraz z normalną stopą pieniędzy wracały prędko, w Polsce wróciły one aż po upływie całego wieku.

Podaliśmy treść zajmującej pracy p. Szelągowskiego „Pieniądz i przewrót cen w XVI i XVII w. w Polsce“. Wobec niewyczerpanych u nas źródeł, wobec braku monograficznych opracowań ważnych kwestyj, naszego rozwoju ekonomicznego dotyczących, książka p. Sz. musiała mieć znaczne luki — bardzo być może, że nie jedno z jego twierdzeń, po dokładniejszej rewizji, zostanie zmodyfikowane. W każdym razie umiejętna i przejrzyście napisana praca jego przyczynia się w znacznej mierze do zrozumienia stosunków ekonomicznych Polski XVI i XVII w. i winna być czytaną.

Dodatnią cechą tej pracy jest uwzględnienie wpływu faktów zewnętrznych na stosunki ekonomiczne Polski.

Wł. Studnicki.

W obronie poezji.

Przed dwoma tygodniami zamieściłem w „Tygodniu“ artykuł p. t. „Na temat poezji“, w którym pozwoliłem sobie zauważyć, że dyskusja, jaka się odbywała przez dwa wieczory w „Związku naukowo-literackim“, z okazji odczytu p. Kasprowicza „O poezji w XIX. stuleciu“, była jałową. Zarazem wskazałem na p. Kasprowicza, jako na sprawcę dyskusji i jej jałowości, oraz zaznaczyłem, jak sobie zdaję sprawę z przyczyn tego objawu. No i choć krępowany tysiącznymi względami, powiedziałem zaledwie małą część prawdy, przecież i ta jej odrobina zrobiła swoje. Wszędobylski i wszechwiedzący „absolut“ doznał przecież niespodzianki i choć „niewzruszony“, poruszył się jednak tak mocno, że aż wypadł z równowagi.

Na mój artykuł odpowiedział nie p. Kasprowicz, ale jeden z poddanych „absolutnego“ państwa, starszy urzędem i wiekiem. W tem, co napisał przeciwko mnie w dodatku literackim „Słowa Polskiego“ z zeszłej niedzieli zarzutów moich niczem nieodparł; zastawił się tem, że zakazano mu występować w sprawie człowieka, który, jako redaktor, podpisuje dodatek. To dziwne! P. Kasprowicz nie pozwolił na rzeczową polemikę, a przystał na kiepskie impertynencje! Już to samo mogłoby mnie uwolnić od odpowiedzi, gdyby nie nastręczała się tu sposobność uzupełnienia pewnych rzeczy, które dla powodów ubocznych, tylko zaznaczyłem.

Napisałem tam między innemi, że dyskusja była „pod poezją“ i nie wyjaśniłem tego dostatecznie. Owoż poeci — ale twórcy — gdy tworzą swoje dzieła, gdy własne wiary drugim narzucają, nie mają poczucia, żeby wyczerpywały one cały świat raz na zawsze, lecz tylko pewną grupę zjawisk, które w danej chwili dostrzegają za pomocą tego sposobu patrzenia, odczuwają i rozumieją, a potem drugim przedstawiają. Czy to Szekspir, który tyle miał kątów widzenia, ile dzieł napisał, czy Maeterlinck ze swoimi niedopowiedzianemi stanami duszy, czy nawet Słowacki w swoim „Królu Duchu“, oni wszyscy wychodzili z czegoś, co w owych chwilach żyło, czy to w nich, czy też poza nimi. Nawet takie pojęcia, jak walka ducha z ciałem, uczucia z rozumem, miłość ideału i całe szeregi innych, to wszystko w chwili, gdy się pojawiało miało swój grunt realny w jakiejś

grupie zjawisk. Ta realność nadawała im to, co potem mniejsi od nich odczuwali jako harmonję, barwność, plastykę, gigantyczność, mistyczność. Sami twórcy o tem nie myśleli, oni tylko chcieli jak najlepiej oddać to, co widzieli, czuli, czy rozumieli, bez troski o to, jak to potem zostanie nazwanem.

Dopiero ci mali, którzy bezpośrednio z życia czerpać nie są wstanie, którzy co najwyżej rozumieją to, co im się powie i to niedokładnie, którzy radzą sobie zestawianiem rzeczy podobnych i rozróżnianiem niepodobnych, którzy pozbawieni są zupełnie kontroli rzeczywistości, wytwarzają artystyczne abstrakcje i bezduszne kanony. Czasem przychodzą ludzie lepsi, którzy ożywiają półzamarłe twory i, rekonstrując grunt ich w swej intuicji, debanalizują je, lub poddawszy je rewizji wykazują ich nicość i robią miejsce nowym. Ale pigmeje rozmaici nie śpią. Podchwytują znowu i jednych i drugich, szufladkują ich, wyjaławiają ich myśli i wyobrażenia, konstrują z nich całe postulaty i przemieniają tak w nowe szablony. W ten sposob robi się literatura i estetyka pisana, lub gadana na takich zebraniach jak owe dwa wieczory czwartkowe w „Związku Naukowoliterackim“ we Lwowie. Kto w poezji do takich formuł i postulatów się stosuje, ten, czy to nazywa się estetyk, czy profesor ekonomji, czy literat, czy nawet poeta, jest „pod poezją.“

Taką też była dyskusja w „Związku naukowoliterackim.“ Była niefachową. Proszę posłuchać, jak rozmawiają ze sobą malarze. Zawsze chodzi o jakieś wypadki, w których to lub owo ma być tak lub owak, a dopiero, ktoś z zewnątrz słuchający tego, wyrabia sobie zdanie o rzeczy i korzysta prawdziwie, jeżeli tylko ma jakie takie podstawowe wiadomości. Tak samo i z muzykami. Oschłe stają się te dwie sztuki, dopiero gdy wyrokują o nich dyletanci, udający fachowców, zamiast zdawać sprawę, jak co sobie w każdym danym wypadku tłumaczą. W poezji podstawowe wiadomości mają pozornie wszyscy, którzy czytać umieją, ale też i dyletantów tu najwięcej i dlatego to wszelkie literackie dyskusje są nudne choć, pozornie imponują; tu konstruktorzy mają o czem gadać, bo gotowy materjał jest ogromny.

W samej dyskusji widać było nawet różnice w tym kierunku. Oto gdy któryś z dyletantów posłużył się jakąś teorją, zaczerpniętą z innej dziedziny, wówczas obecny tam fachowiec zaraz podrywał się i prostował fałsze. I dlatego to te momenta w których przemawiał taki np. p. Raciborski (przyrodnik) lub Ernst (matematyk) działały ożywiająco. Ale i one do poezyi nie należały, a co po za tem było, to zdolnem było u obojętnych wywołać sen, a u tych, którym chodzi o poezję — jedynie wzgardę.

Francuscy indywidualiści, symboliści i nastrojowcy, a za nimi nasi domorośli ich naśladowcy i przystosowywacze, walczyli z dawnymi szablonami literackimi, potem obalali niektóre i czyścili tak drogę dla wyrazów swoich uczuć i myśli. Ale ani wiedzieli kiedy zaczęto im doszukiwać ojców, babki i wujków, wywlekać podobieństwa z przeszłości i zwolna z żywych pragnień porobiły się takie rzeczy: jak kult indywidualizmu, sztuka dla sztuki, sztuka to nastrój, powinno się operować tylko impresją etc, etc. czyli cały szereg nowych szablonów, grożących zatarasowaniem drogi tak samo, jak tym modernistom tarasowały ją szablony poprzednie.

A ot, całkiem świeży przykład powstawania szablonów. Varlaine rzekł raz: „...a wszystko inne to literatura“ — była to chwilowa reakcja przeciwko dawnej literaturze, szczęśliwy zwrót, którem szabloniści — zwykle ubodzy we własne koncepta — zaraz szastać zaczęli, cytując je przy każdej sposobności, tak jakby samo ich wiedzenie o tym frazesie było rękojmią, że niby to, oni nie tacy! I tak wytworzyła się tzw. „nieliteracka literatura“. Albo — zauważył ktoś na kimś szczerość i stała się ona hasłem. Dziś zaś każdy przeciętny poeta liczy się z tem i imituje pewną nie niebezpieczną dawkę szczerości, odkrywa „rany“ i „czeluście duszy“ i paraduje z „nędzami“, z któremi myśli, że mu bardzo do twarzy, bo były one właściwemi najgłośniejszym z współczesnych.

Pan Kasprowicz, jako prawdziwy poeta, mający poczucie realności swojej poezji, powinien obawiać się takiej roboty konstruktorów, powinien pędzić ich na cztery wiatry od siebie. Wyświadczają oni poetom taką przysługę, jak kataryniarze kompozytorom. Robią z ich melodji banalność, która po jakimś czasie tylko niesmak budzić musi, i... jaki taki, choćby z powodu znudzenia się, zrobi opozycję. Tymczasem on nietylko godzi się z nimi, lecz nawet pomaga im, wywlekając stary z przed stu lat „absolut“, który w swoim czasie uzmysławiał pewną grupę pojęć. I myśli, że wpakowawszy weń dzisiejsze poetyckie objawy, liberalnie

rozszerza zakres poezji. Ale przytem usiłuje odwrócić od siebie podejrzenie, jakoby szedł „na pasku szkoły krakowskiej“; to spostrzegli i inni i napisali p. Kasprowiczowi w swoim czasie w „Nowej Reformie“, a teraz w „Czasie“. Wśród dyskutujących zresztą było to „publiczną tajemnicą“, że staruszek „absolut“ jest tylko wracającą incognito „duszą“ krakowską. Poznać to np. po tem, że jako jedyne kryteryum poleca się znowu osławione „uczucie“ — znany fortel kobiecy, służący do kontrabandy wszystkiego, co wygodne.

Ale mniejsza o to. Ja wystąpiłem przeciwko takiemu dyletancko-konstruktorskiemu traktowaniu poezji. Nie przypuszczam, aby ono dało się zdmuchnąć z ziemi; zawsze będą na niej grasować dyletanci, tylko, że stosownie do różnych warunków, różnie będą się formować. Zresztą te dzisiejsze „schoengeisty“, to twory nawet potrzebne do zohydzania i niweczenia różnych konwencjonalnych szablonów. Należy tylko usuwać ich z drogi, gdy zbyt prędko banalizują głębsze ideały, lub gdy się zbyt rozwielmożniają.

Z przekonaniem tem bynajmniej nie jestem odosobniony. Takich jest więcej, którym zbrzydły banalności tych panów. Oni to zawalają drogę i wytwarzają sytuację taką, że żadna indywidualnie nowa prawda wydobyć się nie może. Skoro zaś odrobina krytyki jest dozwoloną, to musimy zaczynać od tępienia tych zawalidrogów, wykazywaniem, że to pod wielkimi słowami kryje się często prosta nieświadomość, ambicja, chęć wygadania się, bogactwo materjału gotowego, etc. etc., że po większej części nie to piękne co piękne, lecz co modne lub wygodne. Taką lichą monetę pakuje się do poezji, a nawet do życia, gdzie taki jeden i drugi pan, kocha się nienawidzi, zachwyca i brzydzi wedle literacko-estetycznych formuł. Chcąc poezji przywrócić swobodne życie, musimy z niej wyrzucić wprzód te konstrukcje i wyeliminować z niej szkodników, tak, jak oni chcieliby eliminować użyteczników, nie pomni, że w ostatniej instancji poezja służy przecież pożytkowi ludzkiemu.

Nakoniec kilka słów co do przytyku, że krytykuję tak, jakbym sam coś lepszego potrafił, a mimo to nic nie wydaję. Owoż dość już dawno bo siedm lat temu, kiedy jeszcze „tłum“ był „bożyszczem“ p. Kasprowicza, a p. Przybyszewski terminował sobie u Niemców, pisaliśmy i drukowali rzeczy oryginalne i krytyczne, które charakterem, nie ideą, przypominały modernizm z pierwszego, rewolucyjnego okresu. Atakując wówczas „literaturę“ nie spodziewaliśmy się, że nam w tak krótkim czasie przyjdzie z tych samych powodów zabrać się do atakowania tego późniejszego modernizmu, który pod względem głębi i oryginalności wcale nie stoi na wyżynie naszych postulatów. O dalszych owocach niezależnej mej pracy nie mówię — i uważam to za bardzo tanią i niesubtelną fintę, gdy się chce w ten uboczny sposób osłabić moje argumenty. Każdy powinien przecież dobrze wiedzieć o tem, że ukazywanie się dzieł zależy od wielu warunków zewnętrznych — a także i wewnętrznych, gdyż są wprawdzie pisarze tacy, którzy swą twórczość mierzą współczesnymi konwencjonalnymi ideałami, ale są też i tacy, którzy sami dla siebie tworzą wyższe i bardziej skomplikowane kryterja.

Stanisław Womela.

Daniel w lwiej jamie.

Dzikie, wylęgłe kędyś w pustyń białym żarze,
Ciemnością oszalałe i głodem straszliwe
Króle lwy — jeżą wściekle karki złotogrzywe
I nieme, rozjuszone, oślepłe w pieczarze,

Dyszą... Jeden ogromny, przyczajony w mroku,
Wyciąga sennie cielsko, ziewa, paszcz zziajaną
Rozdziawia w krwawym blasku, śnieżną broczy pianą
I staje drżąc, zgarbiony, gotowy do skoku...

A mąż boży — za władcy okrutnym wyrokiem
Co śmiał dłoń kruchą ścisnąć nad pańskim prorokiem —
Śród grozy onej szałem śpienionej Gehenny

Stał bez ruchu — i dumnej nie ugiąwszy głowy,
Wbił w rdzawe oczy bestji grot źrenic płomienny,
Straszny nadludzką wiarą w świętą Moc Jehowy...

Józef Jedlicz.

Nieznane dzieło Moniuszki.

Walicki podaje w swojem dziele wiadomość o dwóch utworach Moniuszki do słów Al. Fredry skomponowanych, które w rękopisie zaginęły, są to „Nocleg w Apeninach“ i „Nowy Don Kiszot.“ Co do pierwszego z nich, to zdaje się, że zaginął on rzeczywiście bezpowrotnie; co do drugiego, to długo poszukiwano go daremnie, aż wreszcie z końcem r. 1895 udało mi się odnaleść go, porządkując spuściznę bibljoteczną po ś. p. dziadku moim A. W. Cybulskim pozostałą, gdzie również znalazłem i dokumenty, dowodzące niezbicie autentyczności tej partytury i pierwotne jej dzieje dokładnie opisujące. — Partytura ta rękopiśmienna „Nowego Don Kiszota“, na orkiestrę napisana, która obecnie w mym ręku się znajduje, jest odpisem za staraniem samego autora sporządzonym, i obejmuje 170 stronic, a na karcie tytułowej posiada następujący napis: „Nowy Don Kiszot, czyli Sto szaleństw. Krotochwila wierszem ze śpiewami. Słowa Aleksandra hr. Fredry. Muzyka Stanisława Moniuszki. W dowód najszczerszego uwielbienia dla autora tego dzieła poświęcona.“ Partytura ta zapewne w roku 1842. przesłaną została Fredrze do Lwowa; Fredro otrzymawszy ją musiał listownie podziękować autorowi, na co następującą otrzymał odpowiedź, którą dziś ja posiadam w oryginale a sekcja im. Moniuszki warszawskiego Tow. muz. w bruljonie:

„J. W. Hrabio!

Nie umiem wyrazić mojej wdzięczności za najłaskawsze wyrazy odpowiedzi na mojego Don Kiszota. List ten, jako najdroższa pamiątka i niezasłużona nagroda mojej pracy, staje się dla mnie najżywszą pobudką do dalszych robót. Nieśmiem pochlebiać sobie, ażebym kiedyś mógł być dość szczęśliwym, z otrzymania nowego libretto, do mojej muzyki przeznaczonego. Ale jeżeli kiedykolwiek moje najdalsze marzenia spełnićby się miały, spodziewam się, że owej kompozycji mój talent się nie powstydzi, gdyż tak jak w Don Kiszocie nie wierszami, ale wspomnieniem szacownej dla nas ręki, która je kreśliła, natchnąć siebie łatwo umiałem, tak i nadal z mocniejszem uczuciem, bo z najwyższem zadowoleniem miłości własnej, oddałbym się tej kompozycji. Zawstydziła mnie wiadomość, że Nocleg w Apeninach był we Lwowie przedstawiony i że o mnie ta nędzna szkolna robota uwiadomiła. Spodziewałem się przeciwnie, że Don Kiszot będzie pierwszą próbą prac moich, gdyż, wysyłając go, nic nie wiedziałem, żem się już tak niekorzystnie zarekomendował. Jest to zdrada tego, na którego ręce ta muzyka, z warunkiem zupełnego o jej autorze zapomnienia, przesłaną była. Upraszam zatem nie

sądzić ani o Don Kiszocie, ani o moich siłach podług Noclegu. Powtarzam po tysiąc razy najczulsze podziękowanie za list, z którego słusznie się chlubię i chlubić nie przestanę. Zostaję z najgłębszem uszanowaniem J. W. Hrabiego najniższy sługa

Stanisław Moniuszko.

1842. m. Lipca 22. d. Wilno“.

O wzajemnych stosunkach pomiędzy Fredrą a Moniuszką, które przesłanie partytury wyprzedziły, nic mi bliższego nie wiadomo; natomiast z notat, w papierach ś. p. dziadka mego pozostałych, powziąć mogłem wiadomość, że Fredro, aczkolwiek będąc nie muzykalnym, nie mógł nawet poznać samej kompozycji (tembardziej, że była orkiestralnie napisana), robił jednak starania około wystawienia całego utworu na scenie lwowskiej — nadaremnie. W r. 1845. darowuje Fredro w mowie będący rękopis memu dziadkowi, z którym go przyjacielskie łączyły stosunki, a który wobec tego, że ponownie w dyrekcji ówczesnego teatru lwowskiego podjęte starania, na niczem znowu spełzły, postanawia na własną rękę zaznajomić publiczność polską przynajmniej z celniejszymi ustępami dzieła wysoko przez siebie cenionego kompozytora. Niechcąc jednak czynić tego bez wiedzy autora, pisze (w Grudniu 1849.) list do Moniuszki, w którym pszesyłając mu do przejrzenia sporządzony przez siebie do trzech numerów „Don Kiszota“ akompanjament fortepianowy, prosi go o upoważnienie do tego wydawnictwa. Na ten list jednak żadnej podówczas nie było odpowiedzi. Wtedy to nowy właściciel partytury zadowoliwszy się upoważnieniem Fredry, pierwotnego jej posiadacza, wydaje w r. 1851 (we Lwowie, u Jabłońskiego) „Trzy śpiewy z krotochwili Nowy Don Kiszot) (śpiew Don Kiszota, Romans Karola, Dumka g-mol), które w niewielkiej ilości egzemplarzy odlitografowane, dziś do wielkich rzadkości muzycznych należą. Sama zaś partytura stale już odtąd w rękach mojej rodziny pozostawała. Dłuższy czas nikt nawet o istnieniu jej nie wiedział.

Z dniem 1. Września z. r. złożyłem manuskrypt „Nowego Don Kiszota“ dyrekcji lwowskiego teatru miejskiego, która nawet pierwotnie wystawieniem tego utworu właściwy sezon operowy rozpocząć, i w ten sposób wspólny hołd pamięci Fredry i Moniuszki złożyć — zamierzała. Z pewnością, choćby ze względów pietyzmu tylko, zasługuje ten najwcześniejszy chyba z istniejących utworów niezapomnianego twórcy „Halki“, by raz wreszcie ujrzał światło kinkietów na scenie tego samego teatru, do którego wrót niegdyś przed sześćdziesięciu laty kołatał nadaremnie. H a b e n t s u a f a t a l i b e l l i.

Adam Cybulski.

9)

Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

Potworne ogromem groby — świątynie skalne, pomniki grobowe Egiptu (piramidy), dalej wnętrza jaskiń na świat boży wyprowadzone, cała sztuka kamienna, często w najtwardszych materjałach, w syenicie i w granicie wykonywana, może być tylko zrozumiałą, jako z e s p o l e n i e c z ł o w i e k a z k a m i e n i e m, d o k o n a n e w j a s k i n i a c h l o d o w e j e p o k i. Człowiek nawet nie wyobrażał sobie inaczej mieszkania po śmierci tylko jako jaskinie. Tzw. „łoża Hunów“, dolmeny (patrz rycina), kamienie grobowe, wszystko to niejako zmarniałe formy jaskiń. Świadczą o tem komory grobowe kamienne, podziemne i sztucznie na powierzchni ziemi utworzone góry skalne, piramidy, mieszczące w sobie grób — jaskinię, mieszkanie pośmiertne Faraona.

Tak też trzeba rozumieć owe liczne groby kamienne, skrzynkowe, lub dolmeny, utworzone z kamieni podobnie, aby odległy obraz jaskini sobą

przedstawiały. I te groty ciemne, które wyblichowawszy ówczesnego człowieka — Europeja dały jemu owe niebieskie oczy duże, jasne włosy i białą cerę (niby białe łodygi kartofli, które pęki w piwnicy puściły) sztuką obrabiania kamienia połączyły znowu ową najodleglejszą epokę z najnowszymi czasami. A jeśli dziś zwrócimy się do tej części Europy, która klimatem swoim najlepiej przypomina ówczesne warunki życia, do prowincji w Fiummark w Szwecji, to ze zdumieniem spotkamy żywy po dziś dzień ślad sztucznej groty, jaskini mieszkalnej, odtworzonej z kamienia. Rysunek powtórzony za Augustem Meitzenem daje mniej więcej dokładne o tem wyobrażenie.



WIZERUNEK IV.
Groby — sztuczne jaskinie z Hiszpanji przy Equilar.

U nas pamięć okresu kamiennego — jaskiniowego zaginęła prawie zupełnie dzięki innym warunkom życia późniejszego. Jaskinie pod Krakowem, groty w Bubniskach nie pozostawiły po sobie dziedziców. — A jednak drobna pamięć, zawarta w językach słowiańskich świadczy wyraźnie o czasach, kiedy „kowa“ dziś po węgiersku krzemień dała nazwę kowalowi (ko-wats węgierskie) i kowadłu. Na Litwie „topory kamienne“ litewskie Perkuna-kulka, zatrzymały znaczenie swoje kultowe długo poza kres używania kamienia. Aż do dziś używa się ich do celów leczniczych, a znachodzenie ich w dębie Perkunowi poświęconym, tembardziej podkreśla ich znaczenie“. (Bartels. Zeitschrift für Etnologie XXV. ver 352). Pozostaje nam tu jedynie zestawić grupę wyrazów, które etymologicznie razem należąc, stanowią wyraźny ślad wspomnień mieszkań ciemnych skalnych u ludów aryjskich. Cień, Tien, (niem.) Schatten, (gotyckie) Skadus, (grec.) Skaiy — (łacin) obscurus, (środ, górno-niemiec) scheme (star-górno-niem.) scimo, Tien, tin, stin, stein, scimo, scheme wskazują zaś dźwiękowo wyraźnie na jaskinie i kamień.



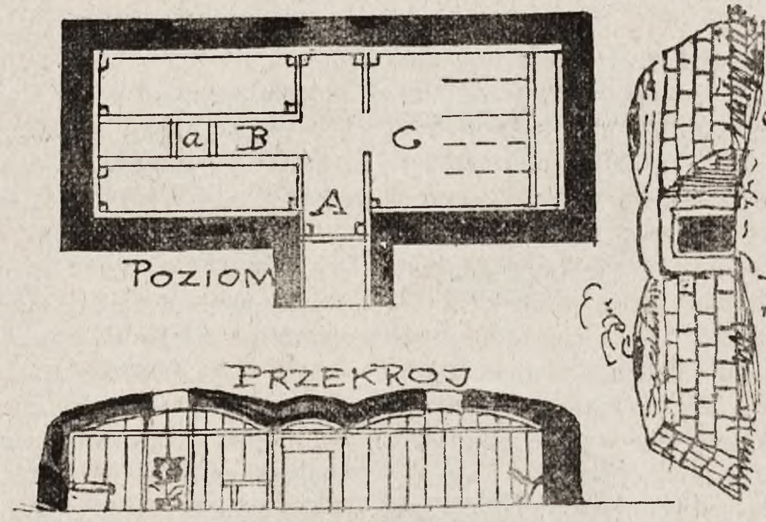
WIZERUNEK V.
Szczątkowy obraz jaskiń, mieszkań w kształcie grobów kamiennych, zwanych dolmenami.

Ponieważ Tyn oznaczało jcszcze w starej słowiańszczyźnie określony przybytek mieszkalny, mamy więc przed sobą pojęcie mieszkania wyznaczonego przez ciemność i kamień, słowem jaskinię. — Czy wspomnienie to odnosi się do jaskiń mieszkalnych wschodnio - azjatyckich, czy też nawiązać je należy do grot francusko-szwajcarskich, to leży poza granicami naszych przypuszczeń. W każdym razie rozbiór tej warstwy budowniczo-kulturalno - artystyczny był i jest konieczny dla dalszych rozważań, bo mieści w sobie węzeł, jaki obejmuje może jeszcze przedlodowe myśliwstwo trzeciorzędowego czło-

wieka z jaskiniowcem — myśliwym z epoki lodowej dyluwjalnej, dalej z ludzkością polerowanego kamienia, a dochodzi wpływem swoim na budownictwo Indji, Egiptu Assyrji a tem samem Fenicji, Grecji i Rzymu aż do historycznych czasów.

NAMIOTOWY STEPOWIEC W KULTURZE ARJÓW.

Nawiązując do omawianego w przeszłym rozdziale sporu o ojczyznę Indo-Germanów, wspomnieliśmy o głębokich różnicach, jakie dzielą w tej materji świat językoznawców i starożytników (antropologów i archeologów). — Skłonność ku szukaniu ojczyzny Indogermanów jedynie w Europie, czy to wśród lasów dziś Litwę zarastających, czy wśród jezior pruskich, czy też w południowej Szwecji, zakwestjonowała w ogóle sprawę istnienia stepowej kultury w dziejach ludów europejskich. R. Much, zadając sobie pytanie: „czy Germanowie byli wędrownymi pasterzami“, a uważając, że wszyscy Germanie są skandynawskiego pochodzenia, tak powiada: „Jeśli nasi przodkowie na północnej ziemi nigdy koczownikami nie byli, to wydaje mi się uprawnionem zdanie, że w ogóle Germanie nimi być nie mogli. Czy nimi byli nim się z wyższej indo-germańskiej jedności wyłączyli, zostaje pytaniem dalszem, którego roztrząsanie musi być wolne od przesądu, że koczownictwo jest konieczną formą przejściową rozwoju kulturalnego człowieczeństwa“. — Nic tak nie wskazuje szkodliwości jednostronnego ujmowania pewnego tylko działu zjawisk, jak przykład powyższego rozumowania. — Człowieka nie można odłączyć od przyrody, a nie potrzeba wcale iść do Azji na to, aby stwierdzić istnienie niegdyś warunków stepowych w Europie i to niezbicie. Z badań berlińskiego zoologa Nehringa i ze znalezisk odnośnych kopalnych kości w brunświckiem, na Morawji i na Węgrzech da się jasno i łatwo wyprowadzić ów wniosek, który zresztą popierają również dane geologicznej natury. Najważniejsze z tych zwierząt kopalnych stepowych są to rodzaje Antylopy „Saiga tartarica“ (znana



WIZERUNEK VI.
Jaskinia sztuczna mieszkalna z prowincji Fiummark w Szwecji (Meitzen. Das deutsche Haus).



WIZERUNEK VII.
Rozwinięty typ-grobu skalnego z Egiptu, jako obraz zamarłych jaskiniowych mieszkań. Dalszem ogniwem są świątynie kamienne, wysunięte w całości na zewnątrz.

u nas ze stepów na rozgraniczu Krymu i Ukrainy), zając karzełek (Lagomus pusillus) i skoczek stepowy (Alactaja janilus) jako dowody dawnego stepu środkowo europejskiego. Jeśli więc żyły w Europie środkowej zwierzęta, których dzisiejszą ojczyzną jest step na rozgraniczu Azji i Europy, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że i człowiek jeśli istniał wówczas, musiał się dostosować do stepowych warunków. — Zresztą znaną jest rzeczą z dziejów południowej Europy, że las jest względnie najpóźniejszem zjawiskiem, a poprzedza go najprzód step a przed stepem, tundra wpółstepowa. — To samo stwierdziło gromadne badanie ogólnego szwajcarskiego Towarzystwa dla pielęgnowania całości nauk przyrodniczych z r. 1896, a p. Nüesch tak to w liście do Virchowa ujmuje. „Dzięki współdziałaniu wszystkich, biorących udział, udało się stwierdzić: a) Następstwo po sobie — tundrowego, stepowego i leśnego świata zwierzęcego, b) wszystkie zwierzęce światy są polodowe i wskazują na zmiany klimatyczne, c) Udało się stwierdzić współistnienie człowieka (paleolitycznego) z obiema temi starszemi warstwami w polodowej historji ziemi, d) Z neolitycznych czasów znaleziono po raz pierwszy miejsce grzebania neolityków (ludów nowszej epoki gładzonego kamienia) las zamieszkujących, ludu starszego od właściwych chłopów palowych ze „szwajcarskich jezior“ (Zeit für Ethnol. XXIX., ab 89). — Z danych powyższych jasnym jest wniosek, że wprawdzie uważanie koczownictwa za konieczną formę przejściową rozwoju kulturalnego ludzkości jest „przesądem“, ale tak długo jedynie, jak długo nie uda się udowodnić w dziejach ziemi warunków przyrodniczych, które nieodzownie istnienie koczownictwa stepowego wywołują. — Bez dokładnie umiejscowionych dziejów przyrodniczych danego kawału ziemi nie wolno jest bowiem sumiennemu badaczowi współczesnemu wnioskować o odległej przeszłości danego ludu. Stwierdziwszy więc istnienie niegdyś stepu w Europie, mamy zupełne prawo wnioskować, że i ludy ówczesną Europę zamieszkujące żyły w warunkach gospodarczych, do życia dzisiejszych stepowców zbliżonych. — Warunki te upodobniały niesłychanie ówczesną Europę z pograniczem azjatycko europejskiem i kto wie czy, nie były dlatego pierwszym impulsem przelewania się ludów z Azji do Europy. Na jakich warunkach dokonało się zmieszanie ówczesnych ras, tubylczej długogłowej i napływowych krótkogłowców, usuwa się na razie z pod rozstrzygnień, w każdym razie po dziś dzień nieprzerwanie istniejące warunki stepowe na wschodzie Europy i na zachodzie Azji długo bardzo, jak z gardła źródeł, rzucały fale ludów, które zalewając Europę, ruchliwością Arjów stepowców przełamywały późniejszą zachowawczość osiadłych — rolniczych plemion europejskich i odciskały pieczęć swoją na kulturze Europy.

Jeśli jednak Arjowie przeżyli długo w warunkach życia stepowego, to musiały się na językach, wyszłych ze wspólnego aryjskiego (indogermańskiego w ściślejszem pojęciu) pnia odcisnąć wyrazy i obrazy związane z systemem gospodarowania i mieszkania na stepie.

Spróbujmy więc, kierując się pewną w ustępie pierwszym omówioną zasadą, oddzielić brzmienia złączone ze sobą obrazową pokrewnością, tkwiącą w sposobach ówczesnego życia.

STEFAN RYCERSKI.

PUŚCIZNA BRZESZCZA.

(C. d.)

— Otóż to, otóż to, Ignasiu!

Słowa te nie stosowały się do rozmowy. Zginęły też w ogólnym gwarze. Ale zauważyła je Marynia. Było to jakby nieme pojednanie po zatargu, który nie wcielił się w wyraz żaden. Zrozumiała, że to skutek jej interwencji. I naraz uderzyła ją nagła zmiana, zaszła w Ignasiu. Z bystrością sobie właściwą zdała sobie sprawę z jej powodów, tembardziej, że od chwili powrotu badała go ciągle. Jeśli przemówił serdecznie, do starego przyjaciela, nie uczynił tego pod wpływem uczucia. Wszakże od chwili przyjazdu ranił go ciągłą obojętnością, urzędowym tonem, przybieranym jakby naumyślnie, charakterem zwierzchnika. Spostrzegła to od pierwszej chwili i szukała przyczyny.

Teraz znów brat nie uznał swej winy, nie pożałował swego postępowania, ale szedł za przykładem pierwszego lepszego, chociaż ten pierwszy lepszy w stosunku do Berwicza uległ jej sugestji, i on sam był tego świadkiem.

Marynia była niemal przerażona tem spostrzeżeniem i mimowolnie zadawała sobie pytanie, jak rachować na człowieka, który nie ma wytkniętej drogi i gotów iść za kierunkiem wypadkowo spotkanej osobistości, byle ta umiała nim zawładnąć, bez względu na to, gdzie go zaprowadzić może, chociażby na manowce. I ten człowiek był jej bratem, nadzieją matki, głową rodziny, i — rzecz ważniejsza, — obywatelem kraju, który potrzebuje nadewszystko dzielnych charakterów.

Fakt, zauważony przez nią, był drobny z pozoru, a jednak rozwiązywał zagadkę, nad którą biedziła się ciągle od powrotu Ignasia i pytała znów samej siebie, czy tak ma być dalej w życiu, i jakby w jasnowidzeniu, zadrżała przed przyszłością, bo ta wydała jej się nagle mętną, nieobrachowaną, groźną, jak wszystko to, co nieznane.

I znowu pytała siebie, dlaczego, skoro brat miał tak miękką naturę i musiał ulegać nędznym wpływom, nie szedł za kierunkiem najbliższych, tych, co go tak kochali, z którymi powinien być złączony myślą i sercem, ale szukał sobie gdzieś bogów obcych?

Zbyt mało znała psychologję podobnych charakterów, podszytych zwykle miłością własną i przekorą, ulegających tym, co im pochlebiają, lub imponują, by umieć na to odpowiedzieć.

Zamyślona, nie zwracała uwagi na rozmowę, jaka toczyła się wkoło, gdy nagle usłyszała słowa, które dotknęły ją, jak gdyby żelazem gorącem.

Arczyński mówił, zwracając się do jej brata.

— Pamiętasz, Ignasiu, opowiadał nam to samo w Warszawie książę Bachmatów na raucie w zamku...

Tu urwał nagle. Ujrzał, iż grom jakiś uderzył we wszystkich i stała się nagle taka cisza, iż można było dosłyszeć szelest skrzydeł muchy, przelatującej w powietrzu. Ignaś rzucił na niego przerażone spojrzenie, zaczerwienił się po same białka, spuścił głowę i wyglądał tak, jakby pragnął w ziemię się zapaść.

Roński, który znał tradycje Maliniec, zrozumiał szybko, jak niewłaściwie odezwał się jego towarzysz. Stało się jednak, przybrał więc minę obojętną, czekając, co dalej wypadnie.

Berwicz powstał i zrobił krok ku pani Teresie, jakby chciał zasłonić ją przed tym ciosem. Ugodził on ją w samo serce. Przez chwilę spoglądała rozszerzonemi źrenicami, jakby nie rozumiała i nagle stała się bladą, jak płótno, usta jej poruszyły się słowami, które skonały niewymówione, rękoma szukała podpory, jakby chciała powstać i padła na krzesło zemdlona.

W salonie zrobił się popłoch, córki rzuciły się ku niej, Ignaś rzucił się także, ale Berwicz odsunął go szorstko, pochwycił panią Teresę silnemi ramionami i wyniósł, nie oglądając się na nikogo.

VII.

— Wytłumacz że mi na Boga, co się stało, spytał Arczyński Ignasia, gdy znaleźli się sami w jego apartamencie, czekając aż konie założą.

Ignaś bąknął tylko zmieszany:

— Powinienem was był ostrzedz. Nie było czasu.

— Ostrzedz. O czem? Nie rozumiem.

— Potrzebnieś też wspominał o Warszawie i o tym raucie, — odezwał się wreszcie baron, zły na to, co się stało, bo zrozumiał, że od tej pory Malińce będą dla niego zamknięte, a Marynia podobała mu się w naturze, więcej jeszcze, niż na fotografji. Była to przytem panna posażna, wyobrażał sobie, że taki, jak on, światowiec olśni odrazu skromną parafjankę i pozyska ją bez trudu.

— Ja — dodał — milczałem o nich, jak ryba, Ignaś tem więcej, trzeba było iść za naszym przykładem. Dobrze przynajmniej, żeś nie wspomniał o bankiecie dla dziennikarzy rosyjskich. O tem wszystkiem nie mówi się w Malińcach.

— Przyznam się, że tego także nie rozumiem. To, co robię, zwykłem robić jawnie. Jakież tu mogą być tajemnice?

— Hm! pani Marska nie uwzględnia wielu rzeczy, — wyrzekł baron, — należy do nieprzejednanych.

— Tak, mama jest bardzo egzaltowana, — wyrzekł nieśmiało Ignaś.

Była chwila milczenia. Arczyński się zastanawiał.

— Wiem tylko tyle — wyrzekł wreszcie zmartwiony — żem niechcący wyrządził niezmierną przykrość całej twojej rodzinie, tego sobie darować nie mogę. Ale ty, znając zasady, jakżeż mogłeś...

— To dobre, — przerwał Ignaś, — niepodobna zawsze ulegać kobiecym uprzedzeniom. Wszyscy mnie namawiali, by jechać do Warszawy, wszyscy robiliście to samo.

— Robiliśmy, — robiliśmy, odparł Arczyński, — któremu nie dawała spokoju scena, mimowolnie wywołana. — Wiecie najlepiej, żem tylko co powrócił do kraju. Rodziców straciłem w dzieciństwie, babka chowała mnie za granicą. Ostatnie pięć lat byłem w Anglji. Nie mam jasnego pojęcia o tutejszych stosunkach. Przyjeżdżam pełen dobrych chęci. Pragnę służyć tej Polsce, którą kocham, nieznając i trafiam do Warszawy na czas uroczystości. Ludzie, o których mogłem myśleć, że stoją na czele narodu, ofiarują mi w nich udział, naglą, namawiają do współdziałania... Naturalnie przyjmuję... Zkądże mogłem wiedzieć, że budzą one tyle oburzenia... Teraz dopiero wpadły mi w ręce pisma galicyjskie... Przedstawiają one rzeczy w zupełnie innem oświetleniu...

— Mnie się zdaje, — przerwał z przekąsem baron, — że więcej, niż czasopisma, sprawiły oczy panny Marji. Ciskały one gromy i błyskawice na nas wszystkich.

— Ostatecznie — mówił dalej Witold — nie miałem jeszcze czasu zbadać kwestji, ale co prawda, widzę, że dotąd na tej ugodzie nic nie zyskujemy.

— Mama mi tego nigdy nie daruje — wtrącił Ignaś — zastanawiając się nad własnem położeniem.

— Jakimże sposobem, nie pomyślałeś o niej wcześniej — pytał Arczyński. — Ja... gdybym miał taką matkę!

— Wszyscy mi powtarzali, żem na nią zważać nie powinien, że kobiety rządzą się uczuciem, a nam trzeba trzymać się polityki rozsądku... że... że wreszcie nie czas już robić powstania.

— Któż mówi o powstaniu? Można było przecież siedzieć cicho! To tak łatwo. Chciałbym — dodał zwracając się już wyłącznie do Ignasia — ażebyś wytłumaczył pani Marskiej, że moje położenie jest wyjątkowe, że nie znam tu jeszcze wielu rzeczy. Uczynisz mi to, nieprawdaż?

Ignaś nie odpowiedział, patrzał w ziemię coraz więcej przerażony.

— Zdaje mi się — wtrącił baron — że to będzie trochę trudno.

— Dlaczego?

— No, czyś się nigdy nie spotkał dotąd z pojęciami, panującemi w Malińcach, i wreszcie nietylko w Malińcach. Przepadliśmy, powiadam ci, przepadliśmy tu z kretesem. I nie mamy poco pokazywać się więcej, bo nam gotowi pokazać drzwi bez ceremonji. Nie chciałbym być na miejscu Ignasia.

Arczyński był coraz więcej zdziwiony.

— Widzisz, są pomiędzy nami nieprzejednani. Ci uważają za zdradę kraju wszelkie kompromisy, za hańbę każde dobrowolne zetknięcie się z oficerami rosyjskimi.

— Dlaczegoż to?

— Cóż, jesteśmy narodem podbitym. Mieliśmy swój rząd, swoje prawa. Ale wszystko to było niegdyś. Dzisiaj trzeba się zgodzić z tem, co jest.

Arczyński słuchał z niezmierną uwagą.

— Widziałem — wyrzekł — w biurach, cukierniach, restauracjach, na kolejach napisy, zakazujące w miejscach publicznych mówić po polsku.

— Prawda. Niejeden zapłacił grube sumy za parę słów, które mu się wyrwały.

— Mówić swoim językiem, nie jest przecież żadnym czynem buntowniczym. To zamach na swobodę osobistą.

— Prawda — tłumaczył baron. — Cóż, kiedy to zakazane.

— Słyszałem, że zakazanych jest pełno rzeczy, nie mających nic wspólnego z powstaniem. I to stosownie do widzimisię każdego urzędnika, od którego woli niema apelacji.

— Taki system.

— Przyznajcie, że taki system musi wytwarzać nieprzejednanych i co, do mnie, dziwić się temu nie mogę. Wobec tego, dlaczegoż brataliście się tak z Rosjanami, których przecież niepodobna uważać inaczej, niż jako nieprzyjaciół?

— Tak, jesteśmy gnębieni na wszelki sposób, to prawda. Więc przy wstąpieniu na tron młodego cesarza, wytworzyło się stronnictwo, które sądziło, że tym sposobem otrzymamy ulgi dla kraju.

— A na jakiej zasadzie działało to stronnictwo?

Baron i Ignaś spojrzeli po sobie, jakby zdziwieni zapytaniem Witolda, który mówił dalej.

— O ile wiem, niema w Rosji ani konstytucji, ani ciała ustawodawczego, któreby tak, jak w Austrji, mogło dawać jakieś rękojmie.

— Wskazówki dawali nam ci, co, będąc ciągle w Petersburgu, są dobrze poinformowani o działaniu i zamiarach sfer rządowych. Młody car był dla nas bardzo przychylnie usposobiony. A ostatecznie wszystko zależy od niego.

— I cóżeście otrzymali? Czy przynajmniej cofnięto te wszystkie zakazy polskiej mowy?

— Nie, ale pozwolono postawić w Warszawie pomnik Mickiewicza, zakładają politechnikę.

— No, to jeszcze nie ulga. Tembardziej, że politechnika ma być rosyjską tak, jak uniwersytet.

— Ho! ho! jak jesteś poinformowany.

— Przecież czytam gazety. Na szczęście nie zapomniałem mego języka. Jestem Polakiem, naturalnie, że mnie tu wszystko interesuje. A jeśli chowano mnie za granicą, to już nie moja wina!

Była chwila milczenia i Witold, snać bardzo zaniepokojony kwestjami, jakie rzucał, zapytał znowu:

— Powiedzcie mi, czy nikomu na myśl nie przyszło, że owe osoby, tak dobrze w Petersburgu poinformowane, pomyliły się, czy też oszukały was, co w polityce na jedno wychodzi? Prawdopodobnie darmo tego nie uczyniły.

— Ale kto?

— Osoby, należące do sfer rządowych.

Baron wydał okrzyk oburzenia, Ignaś wtórował mu naturalnie. Arczyński uśmiechał się z niedowierzaniem.

— Hm! w takim razie byli to ludzie co najmniej bardzo naiwni.

— Obiecywano im, zaręczano — wołał baron.

— Właśnie — odparł flegmatycznie Arczyński. — Trzeba być bardzo naiwnym, by wierzyć obietnicom nieprzyjaciół.

— O! terminologja nieprzejednanych.

— Z tego, co widzę, nieprzejednani mają słuszność zupełną. Pierwszym artykułem w polityce jest nieufność. Powtóre, nie należy nigdy popełniać podłości na kredyt, to się nigdy nie opłaci. Bo jedno z dwojga, albo manifestacje przyjazne z naszej strony dla młodego cara były Rosjanom potrzebne, a w takim razie okupiliby je jakiemkolwiek ustępstwem, albo potrzebne nie były i rzeczy pozostałyby tak, jak są; ale przynajmniej, nie mielibyśmy na sumieniu narodowem podłości, które stanowią prejudykat tem smutniejszy, że raz spełnione dobrowolnie, stają się w przyszłości obowiązkowemi. Zdaje mi się, że to wszystko, cośmy zyskali.

— Ależ ty jesteś czerwonym — zauważył ze zdziwieniem Rański — rozumujesz tak, jak skrajne dzienniki.

— Jestem tylko logiczny, niech to ludzie nazywają, jak chcą.

D. c. n.

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *Wrażenia.* Kazimierz Przerwa Tetmajer. Warszawa 1902. W niewielkiej tej książeczce zebrane są same drobniejsze pisma prozą, które w rozmaitych czasach pojawiały się po pismach perjodycznych. Rzeczy te odnoszą się do najrozmaitszych spraw, tak jak je przynosiła z sobą okazja. Są więc charakterystyki, szkice psychologiczne i fantastyczne, symboliczno-nastrojowe obrazy, a wreszcie drobiazgi pod ogólnym tytułem „Urywki“, w których autor daje wprost aforystycznie, lub przez alegorje i porównania, swoje chwilowe poglądy na świat i życie.

Wszystkie te rzeczy mają cechy wspólne dziełom Tetmajera. Jest więc i nadzwyczajna łatwość wysłowienia i plastyka i barwność i pewna lekka mgła tęsknoty i pewność siebie i mała dawka autoironji. Ale przy całej różnorodności pod względem tematów i wartości rzeczy, jest coś, co od niedawna psuje smak tych zalet, nawet w silnem zazwyczaj u p. Tetmajera pierwszem wrażeniu. Ma to być nonszalancja wielkiego pana intelektualnego, który w tem, co mówi ma zarazem odwagę powiedzieć: ja wam to fabrykuję tak — tylko dla was, bo nie porwałbym was, gdybym do was waszym nie przemawiał językiem, ale wiem, że to właściwie wszystko jest inaczej; ja udam i zapał, i niechęć, ale nie myślcie, żeby mnie w gruncie rzeczy tylko to obchodziło.

Cechę tę miały wszystkie pisma prozą tego autora, jak gdyby ta swoboda formy pozwalała łatwiej na takie uboczne wynurzenia. Szczególnie w jego przedmowach i pismach estetyczno-literackich widać na każdym kroku takie zastrzeganie się.

Ale dlaczego to, co u prawdziwie wielkich jest objawem przyjemnym, bo nadaje rzeczom pewną swobodę, a czytelnikowi jakby jakąś perspektywę nieskończoności, tu u p. Tetmajera razi jako nieszczerość? Oto dlatego, że nie płynie mu z głębi duszy, lecz jest powierzchownem, że pochodzi z próżności literackiej. Rozgłos jego przytłumiony został trochę przez Przybyszewskiego, potem Wyspiańskiego i p. Tetmajer, zamiast w rzeczy swoje wnikać jak najsilniej, ciągle pamięta o tem, jak to się wyda i stara się na rozmaitych drogach podsuwać czytelnikowi to, że on właściwie nie jest mniejszy od innych.

To razi, bo p. Tetmajer wierzy właściwie tylko w te dogmaty artystyczne, jakie wywołały najpiękniejsze z jego utworów i poza nie, nie wychodzi. To zaś, co robi, psuje najpiękniejsze ustępy tego zbiorku, wynikające z tej wiary. Najswobodniejszym był on jeszcze jak zwykle tam, gdzie albo znajomość materjału, bogactwem swojem nie pozwalała mu na dygresje, jak w doskonałem opowiadaniu o Goszczyńskim i góralach tatrzańskich („Stara książka“), albo gdzie, uniesiony momentem, reprodukuje tylko bezpośrednie wrażenia. (Ustępy z odczytu o Böcklinie, z „Tryumfu“, „Ona“), lub tam, gdzie idzie tylko za tem, co sobie wyobraża. Natomiast rzeczy jak „Dusza“, „W nieskończoność“, „Wieczór Florencki“, w których nałamuje się do zgóry powziętej myśli, są produktami chybionymi. „Urywki“, wreszcie byłyby nie — złe, jako zręczne chwytanie zjawisk za pomocą pewnych obrazów, porównań, aluzji i alegorji, gdyby nie ich zbyt widoczna celowość, przy zupełnym niemal braku jakiegoś szerszego znaczenia.

Te kwestje mogłyby być zajmujące, ale tylko wówczas, gdyby, albo p. Tetmajer miał odwagę być szczerszym w negacji samego siebie, albo gdyby jakiś dobry psycholog chciał z tego skonstruować prawdziwego p. Tetmajera. *St. W.*

*

Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach. Ułożył Dr. J. Lamberg, lekarz wied. ochotn. Towarz. ratunkowego. Przetłómaczył i zestawił Dr. P. Kepler, lekarz pow. kasy dla chorych w Podgórzu. Podgórze 1902. — Przedruk wzbroniony.

Nie nowa to wprawdzie publikacja, gdyż nawet i w naszej literaturze popularnej mamy podobne pouczenia, jednak wydawnictwo wiedeńskiego Tow. ratunkowego zaleca się przed innemi wyrazistym przeglądem różnych nagłych wypadków, co jest okolicznością bardzo ważną i zestawieniem tylko najprostszych i wszędzie wykonalnych metod i sposobów ratowania w nagłych wypadkach.

Nie ulega wątpliwości, że tego rodzaju instrukcje dla publiczności, zasługują na jak największe rozpowszechnienie, jeśli się zważy, że co roku zdarzają się liczne nieszczęścia przygodne, w których ludzie tracą życie jedynie skutkiem nieodpowiedniego zastosowania, lub braku pomocy zaraz w pierwszej chwili po wypadku, zanim jeszcze lekarz się zjawi. Osobliwie zdarza się to przy okaleczeniach, gdzie prosty bardzo, tymczasowy zabieg, jak uciśnięcie powyżej rany, lub podwiązanie zranionego członka mogło było człowieka od zabroczenia i śmierci wybawić.

W tym też kierunku pouczenie wiedeńskiego Towarzystwa ratunkowego mieści liczne wskazówki, wyjaśnione rysunkami. Tłumaczenie, dokonane przez lekarza, rzecz naturalna, nie uszkodziło wartości oryginalnej pracy, a wydane współnakładem tłómacza w formie tabeli na kartonie i w formie broszurki podręcznej wyrugować powinno mniej udatne i mniej praktyczne dawniejsze tego rodzaju wydawnictwa, znaleźć miejsce po szkołach, czytelniach, osobliwie wiejskich, i po różnych lokalach publicznych. Takie wiadomości należy rozpowszechniać w najszerszych kołach ludności, a także śród dziatwy szkolnej.

Ale też praca ta, godna uznania, powinna mieć na oku jedynie cel humanitarny, dla tego, pomijając już

wielce niesmaczne wrażenie, które się odnosi, czytając w tytule reklamę dla tłómacza, którego osoba mało czytelnika obchodzi, uważamy za gorszące, że tłómacz i współnakładca, i to lekarz, pozwolił sobie zamieścić w tytule uwagę „przedruk wzbroniony“! Jest śmieszne, żeby tłómacz zastrzegał sobie prawo własności literackiej, tem więcej, gdy przecież każdy wprost z oryginału dziełko przełożyć może, a nie ulega wątpliwości, że dla dobra powszechnego dokona tego trudu każdy lekarz bez pretensyj i nawet bez reklamowania swego nazwiska i swej posady, ku czemu jeden wieczór najzupełniej mu wystarczy. O ile zaś publikacja wiedeńskiego Tow. ratunkowego znajdzie u nas popularność, takie ponowne przetłómaczenie na język polski okaże się niezbędnem, gdyż wydawcy podgórskiego tłómaczenia naznaczyli bajecznie wysoką cenę książeczki. Kosztuje ona w księgarniach 2 korony, chociaż warta co najwyżej 20 centów. Jest to wprost wyzysk, który uwłacza humanitarnemu założeniu broszurki.

Najlepiej byłoby, gdyby wydaniem odpowiedniego pouczenia zajęło się lwowskie lub krakowskie Towarzystwo ratunkowe, bo i to przy takich wydawnictwach uwzględnić należy, że w naszym kraju, a w szczególności w naszych miastach mogą być pewne szczególne warunki i stosunki, z którymi przy udzielaniu pomocy w nagłych wypadkach liczyć się trzeba, a wskazać to może jedynie doświadczenie praktyczne, u nas w dziedzinie ratownictwa zebrane. *S. M.*

SZTUKA. *Jeszcze „Zakopane we Lwowie“.* Jednym więcej wymownym dowodem jednolitości budownictwa i zdobnictwa drewnianego na obszarze ziem dawnej Polski są świeżo przy rozbiórce starej kamienicy, przy placu Dominikańskim l. 3. we Lwowie odnalezione i do muzeum miejskiego przeniesione ciekawe zabytki budownicze z końca wieku XVII. Są to drewniane belki stropowe w liczbie kilkunastu, pięknie profilowane, które później deskami z dołu zostały oszalowane, a z pomiędzy których głównie zwraca na siebie uwagę belka środkowa (t. zw. ciestrzan, po góralsku sosrąb), częściowo z lewej strony uszkodzona. Belka ta, staranniej od innych profilowana, nosi na sobie napis: *(Anno Domini 16—90 die 1. Juni*, w pośrodku zaś tego napisu tam, gdzie profilowanie, jak zwykle, ustaje, posiada trzy w głąb wcinane rozety w dwóch odmiennych typach, pokrewnych typom rozet gwiaździstych, które w tylu odmianach napotykamy na sosrębach i łyżnikach zakopiańskich (patrz. Matlakowski). Wogóle choć znacznie mniej ozdobna, belka ta przypomina bardzo tę, ze zburzonego już domu przy ulicy Grodzickich pochodzącą, którą po raz pierwszy opublikował arch. Kazimierz Mokłowski (patrz „Tydzień“ r. 1902 nr. I. „Zakopane we Lwowie“, wiz. 2.). — Prócz wymienionych belek znaleziono jeszcze w parterze tej samej kamienicy wspaniały węgar okienny i kolumnę kamienną prawdopodobnie wcześniejszego jeszcze, renesansowego pochodzenia.

A. C.

NOTATKI. *Trzydziestolecie Księgarni Polskiej.* W roku bieżącym obchodzi jubileusz trzydziestoletniego istnienia jedna z księgarń lwowskich, która i w przeszłości zaznaczyła się chlubnie swoim narodowo-postępowym kierunkiem wydawnictw, jak i teraz nim się odznacza.

Założył Księgarnię Polską w r. 1872 Adam Dominik Bartoszewicz. Urodzony w r. 1838 na Litwie, po skończeniu uniwersytetu moskiewskiego, brał śp. Bartoszewicz udział w powstaniu z r. 1863, poczem wyemigrował do Francji. Prowadząc tam życie bardzo czynne, należał do grona współpracowników „Przyszłości“ i zasilał korespondencjami pisma poznańskie. Potem wrócił do kraju i założył w roku 1869 czasopismo „Mrówka“ i „Bibljotekę Mrówki“, która zwłaszcza od założenia księgarni silnie zaczęła się rozwijać, jako jedyne w kraju wydawnictwo tego rodzaju. W wydawnictwie tem wyszło za życia Bartoszewicza 236 tomików, zawierających najcelniejsze dzieła pisarzy polskich i obcych. Do zasług głównych Bibljoteki należy między innemi rozszerzenie poczytności Słowackiego, którego przedtem znał tylko najwyższy tysiąc. Oprócz tego wydawał Bartoszewicz jeden z najpoczytniejszych w swoim czasie i najlepiej redagowanych tygodników „Tydzień“, którego wyszło 6 roczników i „Bibljotekę historyczną“ (31 tomów), w której wyszły Schlossera „Dzieje powszechne“ (22 tomów), Peschla „Historja odkryć geograficznych“, Reppela „Dzieje Polski“, Limanowskiego „Ostatnie lata dziejów“ i inne. Z osobnych wydawnictw wyszły „Historja powstania r. 1863“, trzy tomy dzieł Darwina i kilka innych.

W roku 1886 umarł Bartoszewicz, a w trzy lata potem, w roku 1889, objął ją dzisiejszy jej właściciel p. Bernard Połoniecki. Spuścizna po takim poprzedniku nie była rzeczą lekką, jeżeli następca nie chciał zatracić posłannictwa, jaką się Księgarnia Polska odznaczała. Owoż, jako wydawca p. Połoniecki, choć w zmienionych warunkach, utrzymać zdołał tradycje swojego poprzednika. Wydał więc przeszło 100 dalszych tomików „Bibljoteki Mrówki“, potem puścił w świat pierwsze krytyczne wydania dzieł Mickiewicza, Słowackiego, Fredry, a następnie 10 tomów dzieł Szekspira, w tłómaczeniu polskiem. Zarówno w wydawanych przez siebie tomikach „Bibljoteki Mrówki“, jak i w wymienionych powyżej dziełach zbiorowych, starał się dzisiejszy właściciel Księgarni Polskiej o jak najszersze uwzględnienie kierunków literackich i historyczno-krytycznych. Ale najruchliwszym stał się p. Połoniecki, jako wydawca w latach ostatnich, wydając liczne dzieła najmłodszej generacji pisarzy polskich, jak: Kasprowicz, Staff i w. i.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8